№ 40 Warszawa, dnia 21 Września (3 Października) 1883 r. Rok XVIII.—Tom XIX.

# PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

**Prenumerata w Warszawie:**
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.
**Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:**
kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**
EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Królewska Nr 5.

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50
W W Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

## OD WYDAWCY.

Nowi prenumeratorowie otrzymać mogą bezpłatnie na żądanie Nr 39 *Bluszczu* z r. b., w którym rozpoczętą została powieść p. t.: **Książęce gniazdo.**

## W LESIE

(przekłady z Lenau'a).

Był stary las dębowy. Wszedłem w głąb' jego ciemną,
Mały strumyczek szemrał między zielem nadwo-
[dnem,
Górą się kołysały drzew konary nademną,
Leciuchny wietrzyk czoło muskał mi tchnieniem
[chłodnem.

Wtem las naraz zaszumiał — mnie nagle zdjęła
[trwoga,
Że on do mnie przemówi, że głos jego usłyszę,
Że jakieś wielkie słowo będzie rzuconem w ciszę,
Lecz las nagle zamilknął, jakby się przeląkł—Boga!

Zali On był gdzie blizko? Podniosłem wzrok do góry:
Las sklepienia swoje rozciągał tajemnicę,
Lecz wiem, że Bóg wygląda zawsze z głębin natury,
Tylko Go nie zdołały dojrzeć moje źrenice.

---

Puściłem się ścieszką w chłodny gęstwin cień,
Aż kroki mi wstrzymał gładki buku pień,
Na którym ktoś wiosną wyrył serca dwa.
Lecz nagle mi oczy zasłoniła łza,
Bo jesienią kora drzewa pękła tak,
Że stał się w pośrodku jak rozdziału znak!....

---

Samotność nie taka w lesie, jak wśród pól:
Coś tutaj osłania, coś tu koi ból.
Natura na łono swoje bierze nas;
Jak dobra piastunka szepcze stary las,
Jak przyjaciel daje oparcie swe dąb,
Jak pałac Dryady wabi mroczna głąb'.

---

## Nowa kwestya wychowawcza.

(Dokończenie).

Wystawy powszechne—to popularna lekcya ekonomii i przemysłoznawstwa. Wystawy paryzkie i wystawa wiedeńska ściągnęły od nas liczne tłumy ciekawych, a to, co zobaczonem tam zostało, dało do myślenia. Pokazało się, że produkcya tych działów gospodarstwa wiejskiego, które, tak po dworach, jak po chatach, zostają w rękach kobiety, nie jest w budżecie ogólnem gospodarstwa kraju małoznaczną rzeczą. Przynoszą one jednym narodom, jak Francyi i Belgii, miliony, gdy inne, jak my, miliony wydawać, miliony za granicę słać muszą za to, co niejeden z wiejskich właścicieli naszych nazywał pogardliwie „babskiem gospodarstwem". Zaczęto więc brać rzecz pod uwagę, wprawdzie najmniej tam, gdzie największy interes powinien się był obudzić—poczęły się odzywać w prassie głosy, nawołujące do zajęcia się w tym kierunku. Wykazywano ogromne straty z jednej strony, i możliwe a niezawodne korzyści z drugiej; nieżyjący już dziś prof. Rogojski poświęcał temu przedmiotowi w piśmie naszem karty całe, zwracał się do mężczyzn z uwagami surowemi, że źle obliczają, nie dając gospodarstwu kobiecemu poparcia, a nawet dowodził, że „cały niemal zysk za to, co się ze wsi wozami ładownemi na targ wywozi, wychodzi potem na to, co się koszykami przywozi z miasta". Wystawa pracy kobiecej urządzona przez Muzeum Rolniczo-Przemysłowe, podniosła rzecz na porządek dzienny ogólnego zajęcia. Co nasza gospodyni wiejska wytwarza, a co wytwarzać może?—zaczął się pytać już ogół publiczności, a była to ciekawość silnie interessowna ze strony mieszkańców miast. Wzrost ludności w miastach, w Warszawie, w Łodzi, a zarazem podniesienie się w ostatnich latach niemal o miedzę tak wielkiego miasta, jak Berlin, wzmogło potrzeby i ztąd podniosły się ceny. Stała się drożyzna wielka, drożyzna ztąd tem jeszcze zwiększona, że znaczna część wytworniejszych przetworów pożywczych, wielkiemi partyami sprowadzanych z zagranicy, podrożała wielce przez nizki kurs pieniędzy, mających kurs w kraju naszym. Więc też miasta zaczęły się pytać wsi: dla czego to sprowadzać potrzeba przedmioty które kraj nasz wydawać może i wydaje, dlaczego wieś nie produkuje tyle, co może, i tyle co należy? A podniosłoby to przecież, nietylko dobrobyt jednostek, ale dobrobyt ubogiego kraju! I we własnym interessie i przez uczucie obywatelskie, Warszawa zaczęła się krzątać o ułatwienie kobiecie wiejskiej jej gospodarstwa; ponieważ skarżono się głównie na trudność dobrego zbytu, poczęto więc w mieście zakładać sklepy gospodyń wiejskich i cieszono się niemi, uważano sobie za jakiś punkt uczciwości obywatelskiej, aby się tam zaopatrywać—wszystkie organa prassy codziennej przemawiały za tem: przecież dziś nie istnieje już żaden sklep taki! Gospodynie wiejskie nie umiały produkować w warunkach, na jakich się przemysł opiera: więc rzecz upadła, niemniej impuls już został dany i spodziewać się można, że niepowodzenie było jedynie tem niepowodzeniem, jakie najczęściej pierwsze próby spotyka. Trzeba tylko pamiętać o tej rzeczy nie-

zmiernie ważnej, że żyjemy w wieku, który nie pozwala na namysły długie. Niemcy pracować umieją oddawna, umieją szybko i doskonale oceniać położenie i korzystać z czasu: więc też w tem, na co nasze wsie mają teraz wywóz otwarty, a czego w zadawalający sposób nie spełniają, Niemcy mogą nas uprzedzić i gdy drogi handlowe się wyrobią, odsunąć nazawsze. Cło ochronne, zły kurs rubla, bronią jeszcze trochę od tego, ale tylko trochę: Niemcy się krzątają, a my wygodnie przyjmujemy sentencyą łacińską: „Spiesz się powoli“...

Jest to przecie druga strona kwestyi. W tej chwili zajmuje nas głównie to, że ten dział pracy kobiecej: gospodarstwo domowe, odzyskał u większości myślącego ogółu znaczenie swoje, stracone chwilowo. Liczne głosy wołają o potrzebę szkoły wiejskiego gospodarstwa kobiecego, choć nie należy zapominać, że wykłady, w tym kierunku urządzone w Krakowie przez Muzeum Przemysłowe, nie mogły nigdy zgromadzić pożądanej liczby uczennic.

Niemniej fakt ten stoi, że wartość gospodarczej pracy kobiety została tak uznaną i tak jest w osobach dobrych, przemyślnych gospodyń uszanowaną, jak to było za czasów dawniejszych. Gospodarność pani we dworze jest dziś nawet oceniana wyżej niż niegdyś, bo z cnoty rodzinnej podniesiono ją do znaczenia cnoty obywatelskiej, jaką też jest niewątpliwie. Nie samym chlebem człowiek żyje, ale żyje też i chlebem — i chlebem również żyją narody, ludy tak dziś walczą bronią ekonomii politycznej, jak kulami dział i rycerskiem poświęceniem synów swoich. Tylko taka walka wybucha gwałtownie i kończy się w danym czasie, gdy ta druga trwa lata, wieki, pożera siły i zasoby narodu głucho, sposobem niewidzialnym dla oka, które nie patrzy z punktu ogarniającego ogół spraw i potrzeb społecznych.

Druga gałąź pracy specyalnie kobiecej: roboty ręczne, nie doszła do takiego wyrobienia się o nich opinii publicznej ogółu. Powstające licznie w latach ostatnich szkoły rzemieślniczo-przemysłowe dla kobiet zarobku potrzebujących, chciały stworzyć w ich interessie nowe gałęzie pracy, oile można najzyskowniejszej, nie przesądzając kwestyi tamtej: roboty ręcznej dla kobiet klas zamożnych, pracy ręcznej w domu, w rodzinie.—Czy ma ona rzeczywistą wartość jaką pod względem ekonomicznego bytu rodziny? czy praca ta, brana ze strony moralnej wywiera na kobietę wpływ dodatni? jest zawsze zagadnieniem, które dziś pedagogowie skandynawscy wyprowadzili na porządek dzienny wychowawczych spraw Europy. Robota ręczna kobiety nie ma za sobą względów ważnych fizycznego wyrabiania sił dziecka i muszą tu tylko ważyć w zupełności wyżej wymienione względy: interessów ekonomicznych rodziny i interessów moralnych kobiety. Kiedy przemysł fabryczny, maszynowy, obniżył cenę wyrobów, dokonywanych dotąd ręką, obniżył zarazem wartość pracy ręcznej wogóle i zasługę kobiety jako robotnicy w rodzinie. To, co produkowała pracowitym trudem ręcznym, przedstawiało niewątpliwie, wedle cen przyjętych na rynku pracy, wartość mniejszą; czy jednak nie była to zawsze wartość jakaś? Dawniej trzeba było zapłacić drożej; niemniej dziś zawsze musiało kosztować cośkolwiek: zatem nie można zaprzeczyć, że usunięcie ręcznej roboty kobiecej przyniosło pewną ujmę majątkowi rodziny. Albo trzeba było na czemś innem oszczędność zrobić, coś nieraz ważnego poświęcić, albo więcej wydać, mniej złożyć: jednem słowem, zubożeć w kierunku jakimś. Ale to nie wszystko jeszcze. Francuzi mają przysłowie, na wielkiej znajomości natury ludzkiej oparte: „L'appetit vient en mangeant“, otóż gdy sklep, w którym kobieta gospodyni poczęła się zaopatrywać w przedmioty potrzeby rodzinnej, pokazywał jej coraz to nowe, coraz okazalsze, wytworniejsze wyroby, chęć posiadania poczęła się budzić. Był to naturalny apetyt, przychodzący na najlepszą nawet, silniejsza opierała mu się, słabsza ulegała i zaczęło się w rodzinach spotrzebowywać wiele więcej, niż dawniej. Robota domowa była z konieczności prostszą, mniej wyszukaną, mniej umiejętnie obrachowaną na effekt: i ztąd też dawniejsze ubiory, urządzenie domu, a co zatem idzie, obyczaje—wszystko, wszystko prostszem było. Że ceni się zawsze to, co jest dziełem naszem, że trud poniesiony przy tworzeniu podnosi w oczach naszych wartość przedmiotu, który zeń powstał: owe dawne wyroby rąk kobiety zadawalniały ją i nie dopuszczały tego ustawicznego pragnienia nowości, tych ustawicznych zmian, o które dziś przemysł stara się w interessie swoim, i które za jego pośrednictwem narzucają się rodzinom, modyfikując gust, usuwając dawne, skromniejsze, prostsze upodobania. Po tej-to pochyłości staczają się społeczeństwa dzisiejsze do zbytku, do kunsztownego i kosztownego wykwintu, wydatki na utrzymanie rodziny rosną i oto zawieranie małżeństwa dziś już trwoży, powiększona liczba dzieci przeraża z jednej strony liczba samotnych, więc, wykolejonych ludzi powiększa się, z drugiej rodzina przestaje już dawać tego szczęścia, co dawniej, bo ojciec zakuwa się w tak nizkie jarzmo pracy bez wytchnienia, że go często braknie tam, gdzie jako moralny naczelnik rodziny być powinien. A gdy mimo to nieraz starczyć nie może, matka, jeżeli jest odważniejszego ducha, tkliwszego serca kobietą, chce także pod ten ciężar ramiona swoje podstawić, także pracy na zarobek szuka, i dziecko już się chowa źle, a w każdym razie gorzej, niż wtedy, gdyby matka z całą swą myślą, na rodzinę zwróconą, przy ognisku domowem czuwała; mąż zaś już tu nie znajduje po pracy dawniejszego wesela, dawniejszej ciepłej atmosfery, która go niegdyś w domu czekała. On i ona to para robotników, jednakowo zmęczonych i niespokojnych o jutro, które w każdej chwili tak wyciągniętego życia zawieść może.

Praca kobiety mężatki poza dom wychodząca, a nawet często bardzo praca córki młodej, jest w stosunku do rodziny odśrodkową i rodzinne nasze tradycye modyfikującą. Poświęca się niesłychanie wiele temu, co bynajmniej nie uszczęśliwia, temu co do zbytku, do używania popychając, nawet używania tego rzeczywiście nie daje i jest częściej uleganiem mimowolnem prądowi sił, zzewnątrz działających. Odważne powrócenie kobiety do dawniejszego sposobu prowadzenia spraw domu: podjęcie w rodzinach zarzuconej pracy ręcznej, a głównie szycie, przyrządzanie odzieży dzieci i kobiety, stanowiłoby nietylko ważną rubrykę oszczędności, ale sprowadziłoby zwrot ku prostocie, przeciwstawiłoby się temu wykwintnemu wyszukaniu i zbytkowi, który dziś uboży rodziny moralnie i materyalnie. Przemysł produkować może doskonalej, ale rodzina produkuje taniej *dla siebie*. Nie może tu mieć miejsca obliczenie bezwzględne, bo jest ono w zasadzie błędnem. Każda rodzina powinna, tak, jak państwo każde, mieć budżet, którego pozycye ze względem na swój jedynie interes układać musi. Rodzina jest tak samo jak państwo, jak naród: całością, organizmem skończonym i zamkniętym w sobie.

Niemki trzymają się tej zasady. Niemka szyje, druty Niemki poruszają się pracowicie i choć cudzoziemcy często szydzą z tego i żartują, rodzina niemiecka musi być dobrze zorganizowaną, skoro Niemcy są wielkim, potężnym narodem. Zasoby naturalne większej połowy krajów niemieckich przedstawiają się najniżej; jednak Niemcy nie bankrutują, nie bankrutowali nigdy, ale Niemka, tak jak niegdyś babki nasze, robi sobie wszystko w domu, robi to do tego stopnia, że nawet w domach bardzo zamożnych wyrabiają gospodynie mydło z kuchennych odpadków tłuszczu, a przecież fabryki tam są, i są nie gorsze od naszych.

Ale przeciw robocie ręcznej kobiety występowano z zarzutem bardzo ważnym: jej wykształcenia umysłowego, rozwoju i rozszerzenia horyzontu jej myśli. Czy przecież jedno musi koniecznie znosić drugie? Mężczyzna kształci się i uczy ogólnie, choć w zakres tej jego nauki wchodzi zwykle pewna specyalność, która ma następnie podeprzeć jego pracę zawodową. Niemal dla ogółu kobiet pracą zawodową życią jest gospodarstwo, zajęcie u domowego ogniska i ztąd wychowanie kobiety nie może pominąć obojętnie względu na tę jej przyszłość—na obowiązki, które ją czekają, na to, co musi być razem podporą jej życia i życia powinnością. Kobieta wszystkich stanów jest do tego powołaną i mniejwięcej osobistego udziału w to kładąc, musi być jednak—gospodynią, bo w tej spółce życia, która jest małżeństwem, na jej dział przypadają sprawy rodziny wewnętrzne—sprawy domowe. Zatem roboty ręczne, które w tym przyszłym jej domu mieć będą znaczenie niemałe, muszą jej być nieobce, a nawet, jeżeli nie jest panią bardzo bogatą, jej trud własny powinien się tu znaleźć i grać rolę swoję. Święty Paweł napisał tę wielką dla próżniaków przestrogę: „Kto nie chce pracować, niech nie je....“ otóż kobieta wiedzieć to powinna przy zawieraniu małżeństwa, że jeżeli mąż jej pracuje za domem, to ona powinna pracować w domu i pracą swoją do utrzymania rodzinnego się przyczyniać: jak może, czem może, ale jakośkolwiek, inaczej byłaby istotą nieuczciwą, obciążoną grzechem wielkim nieprawego wyzyskiwania drugiej istoty ludzkiej—byłaby w organizmie rodziny pasożytem. Z tym względem, nigdy z oczu nie spuszczonym, należy się matce chować córki, i dlatego samego roboty ręczne, jako jedna gałąź gospodarstwa domowego, powinny mieć w wychowaniu dziewczęcia miejsce należyte, to jest miejsce nie drążkowe, nie dodatkowe tylko, ale tak umierzone, aby młoda dziewczyna obznajomiła się ze wszystkiemi działami robót kobiecych: aby umiała szyć, krajać i znała wszystkie gałęzie robót, mające zaspakajać te potrzeby rodziny, którym ręka kobieca starczyć może. Wprawdzie istnieje pewien czas na wykształcenie umysłu najbardziej sposobny, czas nawet ze względów na materyalne koszta nauki, tak w wychowaniu szacowny, że roboty ręczne, muszą zostać usuniętemi nabok; ale chodzi o to, aby nigdy zupełnie z planu wykluczonemi nie były, nigdy w zaniedbanie zupełne nie poszły, bo odzwyczajane od nich dziewczę, z trudnością wkładać się do nich potem musi, musi nawet łamać się z niesmakiem pewnym, gdyż roboty ręczne, jak w ogóle wszystkie zajęcia mechaniczne, wymagają sobie tylko właściwego rodzaju cierpliwości i uwagi, która się musi wyrobić, niemal jako zdolność specyalna.

Ale dotąd występowały głównie względy i obowiązki natury ekonomicznej: przecież roboty ręczne mają i swoję stronę moralnego znaczenia. Pomijając to nawet, co Palmgren nie bez słuszności pisze, że są szkołą doskonałej kobiecości, bo uczą systematyczności w rzeczach najdrobniejszych i tych rzeczy najdrobniejszych znaczenie wykazują, że wyrabiają cierpliwość, uwagę, łamią zbyteczną burzliwość charakteru i wyrabiają zamiłowania spokojne, domowe—bo to mniejwięcej powiedzieć można o każdem zajęciu pracowitem—roboty ręczne mają dla kobiety te wagę, wielką, że są właśnie owem „zajęciem pracowitem“ zgodnem z zawodową pracą jej życia — zgodnem z jej położeniem w rodzinie. Dobre zajęcie znaleźć, to wygrana wielka, rzecz ogromna dla wielkiej części takich ludzi, których twarda konieczność losu gwałtem nie wprzęga do jarzma pracy, niezbędnie na utrzymanie życia potrzebnej, i niech je ma każdy, miłe mu zajęcie takie, a świat o połowę lepszym, uczciwszym się stanie. Kobieta klas wyższych, na którą, jeżeli zamożną nie jest, ostatecznie mąż pracuje, której czasu, ani zarząd domu przy pomocy sług, ani wychowanie dzieci przy pomocy piastunek i nauczycielek w zupełności nie wyczerpuje i której czasu tego wiele swobodnych godzin pozostaje—kobieta ta ze względów moralnych potrzebuje zajęcia i to zajęcia takiego, któreby ją do siebie przez zamiłowanie ciągnęło, a któremu w każdym razie oddać-by się mogła z zadowoleniem pewnem, nie cierpiąc tej Syzyfowej męczarni nudów, która ciężko przed sobą toczony kamień czasu wciąż upadającym widzi i wciąż musi go popychać pod górę. Że w dodatku nuda jest najgorszym doradcą, że z jednej strony wyrabia kwasy i niezadowolenia, że z drugiej pociąga nieraz poza te granice, których przestępować nie należy—wie każdy. Znakomity ekonomista francuzki, Horn, nowożytny zbytek kobiet na karb tego zalicza, a w dalszym ciągu zaliczyć trzeba i nowożytnej kobiety światowość, ruinującą rodzinę pod względem wszelakim, potrzebę bywania i przyjmowania gości, podobnie kosztowną potrzebę przejażdżek, rozrywek, koncerta i teatra bez zamiłowania sztuki odwiedzane, często blichtr fał-

szywego nabożeństwa, fałszywej, komedyą grającej, dobroczynności, miłostki nie przez kokieteryą nawet, nie pod jej skłonnością lekko snute, a jednak szczęście rodziny podkopujące—wszystko to u większej części kobiet powstaje z braku zajęcia, z braku zamiłowania, któreby do domu silnie wiązało i, jeżeli już nie życiu, to przynajmniej dniom jego dawało cel jakiś, jakąś określoną podstawę.

Praca, oderwana nawet od swoich skutków pożytku materyalnego, praca wzięta sama w sobie, jest największem dobrodziejstwem dla człowieka i dać mu ją — dać mu ją taką, jaka siłom jego, skłonnościom i obowiązkom odpowiada, to uszczęśliwić go i dobrym uczynić. Myliły się *Entuzyastki*, kiedy widząc tłumy kobiet bezmyślnie żyjących, ku niczemu wyższemu, świętemu, duchem niepodniesionych, krzyknęły na haft, który w ręku trzymały. Nie przez haft były one nizkiemi, lichemi istotami— nie przez haft, ale przez nierozbudzenie uczucia, przez zastój myśli, przez nizki poziom pojęć moralnych. Haft bronił je nawet, że się gorszemi nie stały, że niżej, głębiej nie spadły. Kołnierzyk, który wtedy kobieta sama wyhaftowała, teraz się przez jej podobne drogo kupuje i w dodatku kosztownemi koronkami oszywa i ma kosztowne przepięcia— wiedzie za sobą cały szereg zbytkownych przestrojów, które sklep oczom ukazuje, któremi sklep oczy te kusi. Zmiana więc nie wyszła pod tym względem na dobre.

Ale wyszło na dobre inne hasło, przez *Entuzyastki* rzucone—Światła! światła kobiecie! aby jej duch ożył, aby wzrok moralny otworzonym został, aby wiedziały, co jest piękno prawdziwe i jakie są ideały życia—aby czuły, myślały, stały się szlachetnemi osobistościami ludzkiemi, były dostojnemi naczelniczkami rodziny przy ogniskach domowych, były pożytecznemi obywatelkami kraju wśród narodu—ten to wykrzyk na zasługę *Entuzyastek* policzonym być musi i to im w moralnych dziejach naszych przyznanem pozostanie. One podważyły skałę zastoju i w wychowanie kobiece u nas wlały prąd ożywczy. Przecież ta kwestya, niegdyś sporna, wykształcenia umysłowego, na korzyść kobiety rozwiązana, nie rozstrzyga sama przez się wszystkiego, co jest życiem i biegiem spraw jego. Kobieta oświecona ma swoję drogę, najpierw obowiązki owego życia, następnie jego przynależności rozmaite: i o jedno z nich chodzi nam właśnie. Gdzież to widzimy, aby to wykształcenie umysłu, jakie kobieta dziś dostaje, czyniło ją tak naukową, tak pracom i zajęciom nauki oddaną, aby się z tego aż szczególne zamiłowania wytworzyły? Nie ma tego u ogółu mężczyzn, nie ma tego i być nie może u ogółu kobiet; zawsze i wszędzie, we wszystkich społeczeństwach i przy każdym stopniu oświaty publicznej, wyjątkowe tylko osobistości szczególniej naukowemi zostają. Tak jest i nawet dla harmonii w rozwoju ogólnych sił ludzkości potrzeba, aby tak było. Świat i życie to nie szkoła tylko, nie akademia, i kiedy wołano na kobietę, aby na miejsce swych dawnych prac w rodzinie i dawnych swych zamiłowanych zajęć, postawiła książkę, nie rozważono dobrze: czego od niej chcą—nie rozważono: czy to możliwem jest i ostatecznie, czyby to pożytecznem było? Niewątpliwą jest rzeczą, że człowiek chcący być wykształconym, wedle potrzeb czasu swego oświeconym człowiekiem, potrzebuje czytać, iść za myślą i duchem spełniającego się postępu, wiedzieć, co się na świecie dzieje, co się w łonie ludzkości wzrusza. Drugostronnie czytanie przedstawia szlachetną rozrywkę; daje je literatura lekka i zaliczyć to trzeba na rachunek miłych zajęć z dziedziny przyjemności artystycznych, do zajęć podnoszących ducha, i przynoszących nam pewne idealne oderwanie się od nizkiej prozy życia. Jest to wśród pracy zawodowej, wśród trosk i kłopotów codziennych coś, jak ogród wonny i cienisty, gdzie rozwijają nam się kwiaty, gdzie ptaszek wdzięcznie śpiewa, ale od czasu, gdy wrota rajskie zatrzasnęły się przed nami, nikt w ogrodzie nie mieszka, nikt w ogrodzie życia nie spędza; a jednak, powiedzmy to sobie z ręką na sercu: czy większość kobiet czytających nie ogranicza się w zupełności do takiego tylko lekkiego czytania, które jest przyjemnością jedynie? Kto nie chce kłamać, kto chce być szczerym, musi odpowiedzieć: tak... zatem przyznać, że u tych kobiet, które poważnie czuć i myśleć nie umieją, które pracować nie chcą, książka poszła na tensam użytek, co niegdyś igła: zrobiła się zabawką.

A gdy zastanowimy się jeszcze, że ta zabawka może być jak nóż obosieczny, że — dziś szczególniej, gdy romans, powieść francuzka, zawsze u nas poczytna, może nieść jad najgorszego zepsucia, może zbrudzić wyobraźnią czytającej, zwichnąć jej pojęcie o życiu, dojść musimy do przekonania, że kobieta, która-by chciała wciąż i bezustannie, więc bez wyboru czytać, źle na tem wyjść może.

I źle wychodzi na tem liczba bardzo znaczna; karmi się zanadto cukierkami literackiemi, połyka przytem wiele trucizn, któremi je barwią niesumienni ich twórcy; ale wtedy nawet, gdy przez smak szlachetniejszy, przez czystość wrodzoną, brzydkich rzeczy unika, jeszcze pod względem moralnym bardzo wiele traci. Umysł jej przebywa zanadto w świecie fikcyi, wyobraźnia podsycana, karmiona jest zanadto, ze szkodą innych władz umysłu, i wyrabia się ztąd jakiś anormalny stan myśli, często i pragnień, dla porządku życia szkodliwych. Kiedy najwyższa z *Entuzyastek*, Żmichowska, wołała na kobietę o książkę — nie o takim czytaniu dla niej myślała. Chciała rozszerzenia wiedzy, chciała uskrzydlenia ducha, a nie przyjemnego kołysania się w próżni. Wszakże to ona wyższe nawet, szlachetniejsze, bo już do pewnego stopnia pięknotwórcze, ale z żadną życia pożyteczną pracą, z żadną życia pożyteczną ideą nie związane zajęcie Maryi Reginy (Książka pamiątek) nazwała „ambrojską kąpielą—egoistycznem używaniem przyjemności.

Praktyczny grunt nie może być zpod nóg ludzkich usuniętym, a przytem różne są siły, różne obdarowania i kierunki: więc też nawet tak zwane roboty piękne, mogą być, zdaniem mojem, dla kobiety klas zamożnych bardzo potrzebne, jako przypadające na ten dział zajęć, o których Palmgren przy rękodzielnych robotach dla mężczyzny pisze: „Dobroczynny wpływ wywierać to będzie, dając po znużeniu pracą zawodową miłe wytchnienie, przywiązujące do domowego ogniska i broniące od tego, aby rozmaite przyjemności, poza domem spotykane, nie zabierały zbytecznie życiu rodzinnemu i jego obowiązkom“—matki i żony.

Gdy nie będą uważane za pracę życia, gdy nie będą tej pracy zastępować, czego dopuścić nie powinno rozumne pojęcie, tak pracy samej, jak i obowiązków naszych w ludzkości, gdy na dział przyjemnej rozrywki, przyjemnych zajęć policzone zostaną,—ani szkodliwemi, ani ubliżającemi kobiecie być nie mogą i jedynie pozwolą jej jaką godzinę życia dobrze, bo spokojnie i cicho przebyć. Dla tego też w wychowaniu dziewcząt miejsce mieć powinny, a uposaży je to w jednę więcej zdolność przyjemnego upodobania, nieco w dziedzinę artystyczną wkraczającego, jeżeli je wspomoże gust dobry na znajomości rysunku i harmonii barw oparty.

Palmgren przesłał do paryzkiego muzeum pedagogicznego 52 okazy robót ręcznych, wykonanych przez uczennice jego szkoły. Poczynają się one od drobnych i prostych okazów robót dzieci zupełnie małych, postępowo się pod nosząc do wyrobów ośmnastoletnich panien. Oddział pracy chłopców przedstawia się przez 42 okazy drzewa politurowanego, toczonego i rzeźbionego.

*Marya Ilnicka.*

---

# POLKA I AMERYKANKA

## POWIEŚĆ

przez

**Sewera,**

(Dalszy ciąg).

Na wykrzykniku „aus dem eff eff“, gość zamilkł na chwilę i chcąc się nareszcie uwolnić od samochwalstwa siwiejącego Marsa, zaczął mówić o powrocie brata z Ameryki.

— *Goldener Onkel*—zawołał porucznik i zaśmiał się dobrodusznie, a zarazem tak jakoś naiwnie i głupowato, że p. Edward patrzał na niego zdziwiony.

— Przebacz pan, lecz tyle razy na scenach wiedeńskich widziałem złotych wujaszków z Ameryki, a tacy byli zabawni, a często tacy goli!.... I znowu zaczął śmiać się głośno, jak tylko dzieci Marsa śmiać się umieją.

P. Edward sposępniał; chciał dobrą miną, humorem i wesołością zatrzeć przykre wrażenie, jakiego doznał, lecz nie mógł się przezwyciężyć.

Dopiero wieczorem, gdy przyjechało paru zaproszonych kolegów porucznika i sąsiadów, rozpogodził czoło. Wesoła rozmowa, koncepta, wino, karty, pozwoliły mu zapomnieć o głupkowato fluternym uśmiechu.

— Gdybym tylko wygrał wielki los, pokazałbym drzwi temu błaznowi — zawołał p. Edward w drodze z powrotem do Krakowa. Ten jego uśmiech głośny a naiwny, to porównywanie nas do ordynaryjnych filistrów niemieckich i ich złotych wujaszków pełnych gburowatości; ta jego bezczelność, arrogancya i zmuszanie do pochwał i unoszenia się nad rzeczami najpospolitszemi, a zwykle bez gustu i wartości, jako rzeczy sztuki....

Przytem, jaki brak w nim wszelkich szlachetnych instynktów. Wstrętny mi jest ten człowiek! Nie chcę zagradzać losu dziecku, lecz gdybym ja był na miejscu Jadzi, wolałbym dzierżawcę. Wsłuchując się przez jeden rok w ten śmiech officersko-kawaleryjski, piramidalnie-kolosalny — można oszaleć.

— „Goldener Onkel“, jest to jedna więcej na mnie łapka — myślał porucznik po odjeździe gościa. Ale i ja zamłodu byłem szpakami karmiony. Czekajmy na Goldener-Onkla. Sidła po sidłach zastawiają i chociaż dziewczyna piękna, przecie zawsze im frunę. Ha, ha, ha, gruby śmiech rozlegał się, po obszernych komnatach pałacu.

P. Edward nie zwierzał się przed kobietami ze swych przykrych wrażeń, wyniesionych z wizyty u porucznika.

Siwiejący Mars, oczekując przyjazdu Goldener-Onkla, nie pokazywał się w Żurawnie.

— Bóg czuwa — powtarzał uroczyście pan Edward, myśląc o Pierwszym Czerwca.

Przyszedł oczekiwany dzień, witany uśmiechem i biciem serca. Przed wieczorem p. Edward, niepostrzeżony przez nikogo, pomknął żywo drogą ku Skawinie. Spodziewał się od kollektora telegramu. Zaszedł do samej Skawiny, był w biurze, czekał, telegram nie przychodził. Biuro zamknięto — smutny i milczący wrócił późno do domu. Unikając spotkania z żoną i córką, pocichu wsunął się do swego pokoju.

— Czy los się mści, czy Bóg mnie karze?— powtarzał.

Minął dzień drugi i trzeci, żadnych wiadomości z Krakowa nie było. Porucznik, szpakami karmiony—nie przyjeżdżał.

---

## VI.

Para dobrych koni, zaprzężona do najętego powozu, wiozła po bitej drodze, dobrze zbudowanego mężczyznę, czerstwego na twarzy i poczciwie uśmiechniętego. Okrągły kapelusz, przewiązany, według zwyczaju angielskiego, białym woalem, okrywał mu siwe włosy. Obok niego siedziała młoda kobieta; z podobieństwa rysów łatwo się było domyśleć — że córka. Duże niebieskie jej oczy ciekawie rozglądały się dokoła. Na ustach, silnie zarysowanych, ukazywał się uśmiech radości lub podziwu, a często i smutku. Stawała w powozie, zagłębiając wzrok w ciemne góry pokryte lasami, lub zwracała się ku modrym wodom Wisły, wijącej się wśród zielonych łąk, kęp wikliny, nadwiślańkich topoli i białych dworków, rozsianych po wzgórzach.

Ojciec jej uroczysty, rozrzewniony i uśmiechnięty, milczał. Dusza jego skupiła się we wzroku, myśli, jak chmury pędzone wichrem, tłoczyły się,

mknąc szalonym pędem. Trzydzieści lat był nieobecny, wspomnienia odźwierciadlały mu młodość, pełną burz, upojeń, marzeń o sławie, pełną przytem ciężkich zawodów, goryczy i zniechęcenia.

—Twój rodzinny kraj, ojcze, nie jest imponująco piękny, lecz ma dla mnie pewien urok.. Przeczuwam, że mi tu może być dobrze. Jeżeli ludzie będą sympatyczni, mogę go pokochać — tak, jak już kocham język polski.

Ojciec ją przytulił do siebie i pocałował w czoło.

— Szlachetni kochają nieszczęśliwych — szepnął.—Kochaj, bo to kraj biedny; ludziom należy przebaczać.... oni tyle przecierpieli!

— Ojczulek rozczulony — odezwała się dziewczyna.

— I ty, spodziewam się, będziesz rozczulona, jeżeli kiedyś z dwudziestoletnim swym synem zobaczysz napowrót przystań Nowo-Yorcką.

— Chciałabym tej chwili doczekać: byłabym dumna i szczęśliwa.

— Cierpliwości—odparł ojciec z uśmiechem.

Przejeżdżali przez wieś: ubogie chaty pokryte słomą, przed oknami kałuże gnojówek i nawóz rozgrzebywany przez kury. Dzieci w koszulach bawiły się w piasku. Świeże ale powalane ich twarzyczki, potargane włosy, zdziwione oczy wzbudzały litość i zarazem sympatyą.

— Jak mogą właściciele pozwolić, aby dzieci ich wsi, zaledwo koszulami były okryte! zawołała dziewczyna.

— Taksamo, jak ty pozwalałaś na to w Waszyngtonie.

—Ależ niepodobnami było ubogiej ludności wielkiego miasta przebierać podług mego upodobania! Coinnego tu, gdzie gmina składa się z kilkunastu lub kilkudziesięciu chat.

— Masz otwarte pole działania.

— Przeczuwam, że moja energia będzie się mogła rozwinąć.

— I to bez wielkiej konkurrencyi — dodał ojciec.—Poczciwe nasze kobiety, są zbyt drobiazgowe, zajęte sobą, skrępowane formułkami; brak im inicyatywy i wytrwałości. Radeby, lecz wiele rzeczy nie umieją, a i wiele nie śmieją.

— Ja ośmielę je i zachęcę — zawołała Amerykanka z wiarą w siebie.

— Tylko ostrożnie i zręcznie.

— Niestety—przebiegłości nie nauczyłeś mnie, ojcze.

— Powinnaś ją mieć jako kobieta.

— Wyrodziłam się.

Zjeżdzali z pagórka.

— Patrz, patrz, pochwycił ojciec, stojąc w powozie, naprawo, na stoku rzeki, ten dwór, alea z lip, brzozy, świerki, staw.... widzisz?

— Wybornie.

— Tu się twój ojciec urodził i wychował.

— Żurawno!

— Wypiękniało, drzewa zolbrzymiały. Czujesz ten zapach kwiatów polnych, macierzanki i lasów sosnowych, płynący południowym wiatrem z gór? Zapach ten odmładza mnie, zmazuje trzydzieści lat mego życia. Czuję, że jestem na ziemi rodzinnej i czuję, że ją kocham, że tęskniłem za nią. Ten zapach przypomina mi młodość, walki, uniesienia —i łzy wyciska.

Dziewczyna wpatrywała się ciekawie.

— Tu jest oryginalnie i bardzo ładnie — szepnęła.

— Kochany mój Edward! Zostawiłem go w uniwersytecie dwudziestoletnim młodzieńcem. Ładny był z niego chłopiec, wesoły, dowcipny.— Jedź, jedź—zawołał na woźnicę.

Usiedli. Ojciec trzymał rękę córki, patrzeli w milczeniu na przesuwające się obrazy.

Powóz wjechał w lipową aleę, potoczył się około grabowego żywopłotu. Zadudniło po żwirze wysypanej drodze; stanęli przed dworem.

—Masz ich!—zawołała p. Balbina, łamiąc ręce. Jadwiga wyjrzała oknem i zbladła; uczuła, że jest zepchniętą ze swego stanowiska, że ją wypędzają z Żurawna, że nie jest tą, którą do tej chwili była.

—Odwagi, odwagi—szepnął p. Edward.—Jeszcze nic nie stracone—i wybiegł.

Bracia spojrzeli na siebie, przeczuli się raczej, aniżeli poznali—i rozwarli ramiona.

— Edziu mój, Edziu — zawołał Ludwik i rozpłakał się.—P. Edwardowi również niekłamane łzy wytrysły z oczu. Dziewczyna, łzami ojca wzruszona, stała, trzymając się balustrady.

— Stanisława — rzekł po uściskach Ludwik.— Dla pamięci naszego zacnego ojca dałem jej to imię.

Pan Edward wyciągnął do niej rękę.

— Jakież uderzające podobieństwo do ciebie!

— Chciałabym być we wszystkiem do ojca podobną.

We drzwiach ukazała się p. Balbina, ze swym stereotypowym uśmiechem, i Jadwiga, blada i pomieszana.

— Żona moja i córka—pochwycił p. Edward

Ludwik pocałował w rękę p. Balbinę, w czoło Jadwigę.

— Polecam wam moje jedyne dziecię.

Stanisława uścisnęła za ręce obiedwie panie.

— Będę się starała zasłużyć na miłość waszę— zawołała.

Panią Balbinę dotknęła sztywność Amerykanki, której ona sama nie ośmieliła żadnym serdecznym wyrazem. Jadwiga wpatrywała się w niebieskie oczy swej siostry, podziwiała jej złote, obfite warkocze, usta różowe, silną lecz zgrabną budowę i wyraz twarzy szczery i otwarty.

— Spodziewaliśmy się was dopiero za parę tygodni. Prawdziwa niespodzianka.

— Musiałam się śpieszyć z oglądaniem Londynu i Paryża — odparła Stanisława—aby cierpliwości ojca nie wystawiać na próbę. Zaledwie dobiliśmy do Europy, zaczął tak widocznie tęsknić za krajem, że bałam się o niego. I nie było rady: tylko wsiąść do wagonu i jechać bez odpoczynku do samego Krakowa. Postanowiłam jednak powetować sobie tę stratę. Jeżeli—zwróciła się do Jadwigi, nie wybierasz się w tym roku zamąż, pojedziemy we dwójkę na jesień. Będziemy się wybornie bawić—zobaczysz.

Pani Balbina rzuciła na męża wzrokiem pełnym grozy. Pan Edward podał rękę bratu.

—Chodźmy—rzekł wesoło.—Czy wiesz, Ludwiku, że w pokoju naszego ojca nic nie zmieniono? Będziesz pod takiem wrażeniem, jakbyś go wczoraj opuścił.

— A więc nie zaglądajmy tam dziś—pochwyciła Amerykanka. — Zadużo byłoby wrażeń w jednym dniu dla biednego mego ojca. Całą drogę z Krakowa miał łzy w oczach.

— A ty, moja droga—spytał p. Edward?

— Ja mam dopiero płakać wtedy, gdy z synem swym będę wjeżdżać do Zatoki Nowo-Yorckiej; wolałabym jednak w dniu tym być otoczoną sześciorgiem dzieci.

Pani Balbina zbladła, wzruszyła silnie ramionami, na znak oburzenia i spojrzała wymownie na córkę.

— Pół tuzina! to już prawdziwie poamerykańsku!—rzekł z uśmiechem p. Ludwik.

— Pochrześcijańsku — mój ojcze — odparła córka.

— My nie możemy sobie pozwalać na tego rodzaju zbytki—odezwał się p. Edward.

Pani Balbina była obrażona na męża za przedłużenie ubliżającej rozmowy w jej domu, w obecności córki.

— Czy podać śniadanie?—zapytał p. Edward.— Lecz ostrzegam, że za dziesięć minut obiad.

— A więc muszę się przebrać—zawołała Amerykanka.—Jadziu, proszę cię, zaprowadź mnie do mego pokoju.

— Ależ zostań tak, jak jesteś— tłómaczyła jej Jadwiga.

— Nigdy—odparła—byłoby to wielkie *shoking* z mej strony. Nie odważę się na nic podobnego.

Ukłoniła się z gracyą, podała rękę Jadwidze i wyszła z nią. Pan Edward towarzyszył bratu.

Za chwilę rodzina zeszła się w salonie.

— Przekonałeś się, że autorowie francuzcy nie kłamią.

— Moja Balciu, właśnie pora rozprawiać o bladze francuzkiej...

— Pora, bo towarzystwo Amerykanki niemożliwe dla Jadzi. Dobrze, gdy nikogo niema, lecz gdy ją ludzie zobaczą, a ona będzie im objawiać życzenia sześciorga dzieci i proponować podróż do Paryża... Okropne—obrzydliwe....

— Ależ to tylko otwartość i nic więcej! — bronił p. Edward.

— A cóżeś chciał więcej?

— O intencyach niema mowy.

— Zabawny jesteś.

— Zwyczajna naiwność amerykańska, a raczej oryginalność—zwyczaje.

— Raczej nieprzyzwoitość i złe wychowanie.

— Powoli Jadzia, gdy się bliżej poznają, zwróci jej uwagę na to, co u nas w towarzystwie jest przyjęte, a co nie.

— Powoli? Czy jej będzie chciała słuchać?

— Wszystko to są drobnostki wobec podziału Żurawna. Ludwik zawsze tensam, najzacniejszy z ludzi. Słyszałaś, jak Amerykanka zapraszała Jadzię w podróż po Europie?

— W uszach mi dzwoni ta propozycya.

— Ale w tem dowód, że mają dolary. Cierpliwie i grzecznie! Nareszcie nie zapominaj, że to mój brat, którego kocham, a ona—jego córka.

— Cóż to za ton, którym przemawiasz do mnie?

— Bo się boję twej arrogancyi, która może zrazić Ludwika.

Drzwi się otworzyły; do salonu wbiegła Stanisława w jasnej dekoltowanej sukni. Różę miała we włosach, broszę u gorsu. Ramiona białe i pełne, ręce utoczone, pogodny uśmiech i duże oczy, patrzące na świat rozumnie, lecz i serdecznie.

— Jadziu! jeszcześ nie ubrana? Pani—zwróciła się do Balbiny—jako osobie w wieku, przebacza się; lecz tobie....

Pani Balbina zarumieniła się, p. Edward się uśmiechnął; zakłopotana Jadwiga nie wiedziała, co narazie odpowiedzieć.

— Stryj jeszcze bez białego krawatu, wobec damy dekoltowanej. Rodzonemu ojcu nie przebaczyłabym takiego lekceważenia.

— W tej chwili, w tej chwili, moje dziecię—zawołał p. Edward, wychodząc z pokoju.

Dziewczyna się zamyśliła.

— Może w Polsce są inne zwyczaje? — rzuciła pytanie.—W takim razie przebaczcie mi. Dzisiaj jednak w całym świecie obyczaje angielskiego *high l fe'u* zaczynają panować. Sądziłam więc....

— I nie omyliłaś się, moja droga— rzekła p. Balbina słodko.—Niespodziewany tylko wasz przyjazd, radość mego męża, wzruszenie Jadzi, wykoleiły zwyczajny porządek.

— Zostań więc tak, jak jesteś—rzekła, ściskając serdecznie ręce Jadwidze.

Jadwiga pocałowała ją w różowe usta, idąc za bezwiednym pociągiem.

— Czy zawsze jesteś zamyślona i milcząca?

— Ależ nie—odparła za córkę matka.—Jadzia jest rozmowna, wesoła i żywa.

— Tylko ten nieszczęsny mój przyjazd....

— Raczej jego nagłość—dodała Jadwiga.

— Jutro już wszystko powinno wrócić do równowagi.

Weszli bracia, obaj we frakach i białych krawatach.

Przy stole rozmowa potoczyła się o pierwszych wrażeniach, jakie wywarły kraj nasz i okolica na przybyłych.

— Co do okolicy, to piękności jej będziemy dopiero poznawać konno razem z Jadzią — rzekła Stanisława.

— Niestety, nie mam wierzchowego konia. Mama mi nie pozwala jeździć....

— Czyż można się obyć, żyjąc na wsi, bez wierzchowca?

— Mamy powóz—zrobiła uwagę p. Balbina.

— Powóz dobry dla starców i chorych. U nas jazda konna jest obowiązkową. Wyobraź sobie— zwróciła się do Jadzi—roku zeszłego na wyścigach dostałam drugą nagrodę za bieg z przeszkodami.—Ojcze, musimy sobie kupić konie wierzchowe jaknajprędzej.

—Czy niema tutaj gdzie dobrej stadniny?—spytał Ludwik.

— U jednego porucznika, o dwie mile ztąd.

— Pojedziemy tam jutro.

— Porucznik wdowiec — zrobiła uwagę p. Balbina.

— Tem lepiej—odparła Amerykanka—nie będę żenowana towarzystwem kobiety.—Jadziu, pojedziesz?

— Jadzia nie pojedzie—odpowiedział za córkę

p. Edward — ale ja wam będę towarzyszył. Porucznik jest oryginalny, a konie ma dobre i tresowane.

— Szkoda, że nie jedziesz z nami—mówiła żywo do Jadwigi Amerykanka.—Być może, że wdowiec ten nie ma siodła damskiego: zabiorę więc swoje. Nim się zdecyduję kupić konia, muszę go naprzód wypróbować. Szkoda, że nie jedziesz: bawiłybyśmy się dobrze, tem więcej, że ów wdowiec, jak mówi stryj, ma być oryginalnym. Przepadam za oryginalnością.

Pani Balbina zbladła, zmrużyła oczy, usta zacisnęła, lecz nie śmiała słowa powiedzieć. Nie wątpiła już, że porucznik oświadczy się o jej córkę: a tu wtem stanął groźny nieprzyjaciel, mogący rozwiać marzenia.

Po obiedzie, gdy siostry poszły do ogrodu, pani Balbina przywołała męża do swego gabinetu.

— Człowieku, coś ty zrobił?— zawołała rozpaczliwie.

— Mógł-żem przeczuć, że się odważy pojechać?

— Dosyć tego! Jeżeli nie skończysz z nimi, jeżeli ta dziewczyna zostanie dłużej w moim domu...

— W naszym—chciałaś powiedzieć—poprawił ją p. Edward.

— Wyjadę!—krzyknęła.

— Dobrze, Balciu—wyjedź na dwa tygodnie do siostry; tymczasem ułoży się wszystko do harmonii.

— Zabieram Jadzię.

— Nie zabierzesz. Zaręczam ci, że Jadzia nie zgodzi się na to. Ma ona takt: nie zechce być niegrzeczną dla stryja i siostry. Śpieszę do Ludwika i Stasi, która coraz bardziej zaczyna mi się podobać: szczera, otwarta, serdeczna, śmiała—a i ładna jest.

— I dlatego ją wieziesz tam....

— Nie zakocha się w poruczniku: bądź spokojna.

— Ale może go zbałamucić i pójść za niego.

— Nie pójdzie, a gdyby się o nią oświadczył, nie przyjmie go.

— Ubliżasz swemu dziecku.

— Bynajmniej; utrzymuję tylko, że charakter Stasi jest niezawisły, zadużo ma w sobie samodzielności i energii, aby się decydować na taki i tak stanowczy krok w życiu, któryby musiał być dla niej wstrętnym.

— A Jadzia?

— Jadzia, jak sama mówiłaś, zdecydowana jest poświęcić się dla rodziny.

— Dobre i szlachetne dziecko.

— Nie przeczę. Wiesz, że ją kocham tyle, ile ty—Gucia.

Pan Edward wyszedł; została sama p. Balbina, i nie wiedząc co ma robić, zaczęła cicho, lecz rzewnie płakać.

— Mamo—mówiła Jadwiga, całując ją na dobranoc — Amerykanka nie jest tak złą, jak się przedstawia na pierwszy rzut oka: wykształcona, moralna, religijna—charakter jej szlachetny.

— Co ludzie powiedzą, co cała okolica powie o jej wizycie u porucznika?

— Będzie mieć za towarzyszów ojca i stryja.

— Nareszcie, moja mamo, co ją może obchodzić opinia ludzi, których nie zna?

— Otóż widzę, jak razem z ojcem poddajesz się jej wpływom. Zapowiadam ci, że ona wniesie w nasz dom jakieś wielkie nieszczęście.

— Nie przypuszczam, moja mamo.

Pani Balbina wahała się chwilę, wkońcu przezwyciężyła się i, spuszczając oczy, szepnęła:

— Gotowa ci odebrać porucznika.

— Wątpię—nie przypuszczam i nie wierzę....

A nie chcąc lub nieśmiąc dopowiedzieć reszty—wyszła. Była rozdrażniona i smutna.

— Cóż powiesz, moje dziecko, o pierwszym dniu pobytu twego w Żurawnie—zapytał ojciec córki, gdy przyszła wieczorem do jego pokoju.

— Można tu żyć, lecz wolałabym być już u siebie. Ludzie ci są smutni, przygnębieni, skrępowani formami; nie mają energii i silnej woli. Nie śmieją się szczerze, pewno więc i nieszczerze płaczą. Najsympatyczniejszy jest twój brat, ojcze; Jadwiga ładna, ujmująca, lecz brak jej krwi. Matka jej przypomina moję guwernantkę Angielkę, miss Brown. Pamiętasz ją, ojcze? wszystko było dla niej *shoking*. Powiedzieć wyraz „koszula“—zbrodnia; uśmiechnąć się do mężczyzny—hańba.

— Cicho — szepnął ojciec, powinniśmy się do nich zbliżyć z uczuciem miłości i przebaczenia.

— Nie powiem, abym nie miała do nich sympatyi, a przebaczać — nie mamy dotąd czego.

— Dobrze, dobrze, moje dziecię. Jutro o godzinie piątej rano zastukam do twego pokoju. Pójdziemy wybrać sobie miejsce na dwór. Zabudujemy się w miesiąc.

— Poamerykańsku—rzekła córka—czyli ponaszemu: śmiało i prędko.

---

VII.

Wizyta u porucznika widocznie udała się, gdyż dżokej odprowadził do Żurawna dwa wierzchowe konie. Za niemi przyjechali: Amerykanka, jej ojciec i p. Edward, smutny, choć udawał wesołego.

— Wiesz, Jadziu—zawołała uśmiechnięta i rozpromieniona dziewczyna—zaimponowałam austryackiemu rycerzowi.

— Słucham — musi to być ciekawe.

— Zaledwo kilkanaście minut jeździłam na jego koniu, przesadziłam w galopie rów, czego on na żadnym ze swych wierzchowców nie dokazał.

Pani Balbina spojrzała tryumfująco na córkę.

— Oniemiał z zadziwienia.

— Było to *steeple chase* zdumiewające — dodał p. Edward.

— Nie koniec na tem. Wygrałam pięćset złotych, to znaczy przeszło tysiąc franków.

—Czy w karty?—zapytała złośliwie p. Balbina.

— W karty nie grywam. Porucznik targuje się z nami nie podżentlemańsku; ja daję za konie tysiąc dwieście złotych, on żąda tysiąc siedmset. Twardy jest w targu, jak Niemiec. Wyjmuję z portmonetki sztukę napoleondora i zwyczajem amerykańskim — wołam: Rozegrajmy te pięćset guldenów. Porucznik się zawahał —musi być skąpy...

„— Boisz się pan?—rzekłam:

„— Zgoda—odpowiedział.

„— Gdy rzucę, zawołaj pan: „twarz“ lub „orzeł“.

Rzucam. Porucznik wierny swemu sztandarowi, woła: orzeł; pada na ziemię złota sztuka; patrzymy, uśmiecha się do nas zagadkowa twarz cesarza.

Zpoczątku przegraną chciał obrócić w żart, lecz mu się nie udało. Wypłaciłam mu tysiąc dwieście guldenów, dodając:

(Dalszy ciąg nastąpi).

---

# Z DZIAŁU PRZYRODY.

## Ustrój i postać tarczy księżycowej.

(Dokończenie).

Gdybyśmy sobie wytworzyli typ pewnej góry obrączkowej, naprzykład Kopernika, ustosunkowany do jego wielkości i wymiarów, to bylibyśmy wielce zdziwieni tem: jak mało odpowiada on owemu wspaniałemu utworowi, jaki wyobrażaliśmy sobie na podstawie karty, lub z przelotnego spojrzenia w lunetę.

Wały księżycowe wznoszą się do niewielkiej wysokości; od strony zewnętrznej pokryte są wszędzie małemi pagórkami i cyplami oraz poprzerzynane wąwozami z promienistemi przepaściami. We wnętrzu kraterów dostrzegamy strome spadki, dosięgające niezmierzonej głębokości.

Średnica wewnętrzna góry obrączkowej *Theophilus* dochodzi blizko 100,000 metrów, owałowanie zaś jej zewnętrzne wznosi się zaledwie do 1.000 stóp wysokości, a głębia sięga 5.500 metrów.

W zestawieniu z nią nasze ziemskie wulkany licho wyglądają; kratery ich są w porównaniu z księżycowemi maleńkiemi lejkami, osadzonemi na szczycie jakiej większej góry, czeluść zaś często nie dosięga podnóża górskiego. Dość jest wreszcie porównać średnicę góry obrączkowej ze średnicą ziemskiego wulkanu, naprzykład Etny, aby poznać zaraz, że pomiędzy niemi niéma żadnego podobieństwa.

Klein wprost odrzuca pogląd innych badaczy, według którego góry obrączkowe na księżycu powstały podobną drogą, jak wulkany ziemskie, że zatem miały wyformować się wskutek wytrysków massy popiołów i lawy przez pierwotne czeluście, osiadających na sobie w warstwach tworzących wkońcu kratery. Jak się wytworzyły góry obrączkowe, dotąd nie wiemy, a nieświadomość ta, nie może zadziwiać, jeżeli zwrócimy uwagę, że o sposobie formowania się ziemskich wulkanów jeszcze przed kilkoma dziesiątkami lat nic dokładnego nie wiedziano, a nawet do dziś dnia w pewnych punktach zapatrywania się na ten przedmiot geologów są ze sobą sprzeczne. To wszakże jest niewątpliwem, że siły, wskutek działania których tworzyły się góry obrączkowe, musiały być czynnemi w wielce różnych od siebie, odległych epokach, gdyż często znajdujemy w miejsce jednej zburzonej formacyi drugą w jej miejscu.

Potężny wał obrączkowy *Theophilus* wrzyna się w północno-zachodnią stronę wału *Cirillusa*, którą w całości pochłonął; wytworzenie się więc *Theophilusa* musiało być późniejszem od formacyi *Cirillusa*. W innych górach obrączkowych i równinach wałowych, a głównie na półkuli południowej księżyca, rozpoznać można kilka takich formacyi, różnych od siebie wiekiem.

Odmienne są całkiem od gór obrączkowych tak zwane kratery, których średnica przedstawia długość od $1/2$ do 3 mil. Po większej części są one okrągłe, ze spadzistemi, gładkiemi wałami, których powierzchnia w rzadkich tylko razach jest nierówną, a to prawdopodobnie dlatego, że nierówności jej są tak małe, iż ich naszemi dalekowidzami dostrzedz nie możemy. Na górach środkowych, w korzystnych dla obserwatora warunkach, dają się widzieć kratery, a wnosić wypada, że zapewne istnieją one i na innych górach księżycowych, jakkolwiek z naszej planety ich nie dostrzegamy.

Gdy słońce znajduje się wysoko ponad horyzontem, niektórych kraterów całkiem rozpoznać nie można, gdy tymczasem inne błyszczą jak świetlne punkciki, lub krągłe jasne płaszczyzny, uwyraźnione tem więcej, im tło ich otoczenia jest ciemniejszem. W niektórych okolicach księżyca małe kratery przejawiają się w niezliczonem mnóztwie; przez silne teleskopy dojrzeć można wielkie przestrzenie w zupełności niemi pokryte. Taki obraz mianowicie przedstawia się między górami obrączkowemi *Eratostenesa* i *Kopernika*, gdzie zaraz po wschodzie słońca liczne kratery występują. W niektórych razach grupują się one rzędem obok siebie, wały zaś w punktach zetknięcia się odsuniętemi są od siebie, tworząc rodzaj kurrytarza łączącego jeden krater z drugim. Kratery te, zwłaszcza mniejsze, przedstawiają, naturalnie, pewne podobieństwo z kraterami wulkanów ziemskich, a mianowicie wtedy, gdy są jasnem światłem obrzucone. Ukazują się nam wówczas w postaci plam świetlanych. Plamy te często powstają z jasnych pasm krateru występujących na samę krawędź plamy, czego wszakże dostrzedz nie można przy braku światła. W takich razach wypadałoby przypuszczać, że krater wypełniony jest massą szlamowatą i przedstawia stok wielce łagodny, niedający zatem żadnego cienia. Pewne podobieństwo do tych wytworów księżycowych, okazują wulkany szlamowate ziemskie, a w szczególności istniejące na półwyspie Taman, których opis dał nam Abich. Rozlew, płynnej materyi poza krawędź krateru, wytwarza naokoło niego rodzaj szerokiego kołnierza, podobnego do utworu *Hallo*, który-to kołnierz często w jasnych plamach księżycowych znajdujemy. Sprawdziła również obserwacya, że istniejący dawniej krater księżycowy, 10,000 metrów średnicy mający, od 1866 roku zmienił wygląd i przedstawia się dziś w postaci plamy świetlnej, w środku której przy użyciu silnych teleskopów dostrzegamy niekiedy mały wzgórek krateru.

Utwór ten, istniejący w morzu *Serenitatis*, nie-

gdyś nosił nazwę krateru *Linneusza*, a przemianę jego wykrył Juliusz Schmidt w Atenach. W kilku innych plamach świetlnych na powierzchni księżyca dostrzeżono wielce drobne kratery, które prawdopodobnie w tensam sposób powstały. Kształty wulkaniczne księżyca cechują się wielkiem podobieństwem do wulkanów ziemskich, których przedstawicielami, według opinii Kleina, są tak zwane przez Neisona trzony kraterowe. Przedstawiają się one w postaci spadzistych stożkowatych pagórków i szczytów górskich, dwie trzecie mil angielskich mających średnicy; zaledwie jednak połowę tej długości ma średnica środkowych kraterów. Przy średniem wzniesieniu się słońca nad horyzont czeluść owych kraterów przejawia się w kształcie czarnego punktu. Wnętrze góry obrączkowej *Stadius*, wypełnione jest mnóztwem takich trzonów kraterowych, które stają się widocznemi, gdy słońce wzniesie się nad ich płaszczyznę. Trzony te, przy użyciu silnych teleskopów, występują w postaci kolców jakby wyrosłych z powierzchni księżyca, co im nadaje osobliwszy wygląd. W morzu *Nectaris*, od południowo-zachodniej strony *Theophilusa*, widnieją dwa dziwnego ustroju kratery, z których każdy otoczony jest popielato-sinym pierścieniem. Kratery te w małych dalekowidzach przedstawiają się w postaci ciemnych plamek. Obserwacya uwidoczniła, że większy z tych dwóch kraterów nazewnątrz uwybitnia niezmiernie płaską stoczystość, tak, że stok tego trzonu rozciąga się w nizkim poziomie na mil kilka. Na tym wielce płaskawym stoku w najwyższlejszym jego punkcie, osadzony jest stromy trzon kraterowy.

W linii prostej od krateru na owej płaskiej stoczystości wydatnieją liczne wzgórza, pomiędzy któremi napotykamy maleńkie kratery pokrywające stok w niezliczonem mnóztwie. Sino-popielata materya przejawia się tylko w blizkości białego głównego krateru, wokoło jego stromego trzonu, a mianowicie wewnątrz wązkiego, dość ostro zakończonego, kręgu. Z podobnego ustroju utworów—powiada Klein—znam tylko cztery na całej tarczy księżycowej, a mniej analogicznych dwa: — wszystkie należą do niezwykłej formacyi. Zpośród nich krater *Alphonsus*, występujący z równin wałowych, otoczony jest ciemną trójgraniastą plamą, a z obserwacyi wnosić wypada, że materya w postaci tej plamy przejawiająca się pierwotnie musiała być płynną i prawdopodobnie wypływała z krateru. W innych punktach powierzchni księżyca dostrzegamy miejscowości jasne, przezroczyste, w których rozpoznajemy łożyska sąsiedniego im morza. Plamy te nie są bynajmniej rodzajem mgły, lecz stałym przetworem powierzchni księżycowej. Powstanie ich możemy sobie objaśnić nagromadzeniem się w cienkiej warstwie popiołu i kamieni.

Do tych osobliwszych utworów księżyca zaliczyć winniśmy tak zwane rozpadliny w postaci długich bruzd, przedstawiających pewne podobieństwo do szczelin, obniżających się, równie jak ściany pionowe, do wielkich głębokości. Rozpadliny te przejawiają się, nietylko w górach, lecz wszędzie na powierzchni księżyca i ciągną się niekiedy na przestrzeni dochodzącej kilkunastu mil długości. Niektóre z nich uwidoczniają rozgałęzienia i odnogi; trafia się też, że dwie większe rozpadliny łączy z sobą płaska szczelina. Często krater bywa popruty rozpadlinami; jedna z nich wielkiej średnicy zwana *Hyginus*, od nazwy krateru, który przerzyna, przechodzi nawet w jego wnętrze, co uwidoczniają dwie potężne bruzdy rozrywające nizki wał kraterowy. Największe rozpadliny mają do 1.500 metrów szerokości, a w niektórych miejscowościach głębokość ich z pewnością dosięga 500 metrów; najmniejsze zaś z nich, które w przyjaznych dla obserwatora warunkach widzianemi być mogą, przedstawiają 50 do 60 metrów szerokości, a długość ich i głębokość do kilkunastu mil dochodzi.

Krawędzie wielkich rozpadlin występują niesymetrycznie, jakby powydzierane były, wskutek czego, gdy wpatrujemy się w nie przez lunety, zdaje się jakoby owe rozpadliny rozszerzały się na podobieństwo kraterów, co wreszcie w rzeczywistości miejsce mieć może.

W dawniejszych czasach często poczytywano rozpadliny za łożyska rzek księżycowych; pogląd ten wszelako upadł wskutek ścisłych obserwacyi Mädlera.

„Wyobraźmy sobie—powiada on—że ziemia nasza na chwilę wyschła, odsłaniając nagie, pozbawione wody, łożyska oceanów, rzek i jezior. Wystawmy sobie wpatrującego się w nią z księżyca, badacza, zaopatrzonego w optyczne środki obserwacyi. Widok, jakiby przed nim wówczas roztoczyła ziemia, byłby wielce różnym od tego, jaki nam powierzchnia księżyca przedstawia, tak pod względem kształtu gór, jak i systematu rzek.

„Te ostatnie w szerszych tylko swych wykrojach byłyby widocznemi, a co najwięcej, ich ujścia, po za tem nic-by dostrzedz już nie można było, gdyż ani szerokość, ani głębokość tych rzek, nie jest tak wielką, aby cała ich rozległość mogła się uwidocznić wraz z ich rozgałęzieniami.

Jeden kraniec tych rzek ziemskich przedstawiałby się w całej szerokości, drugi zaś zwężałby się zwolna i zanikał; odróżniać też możnaby było jednę stronę ujścia od drugiej, a obie strony wyróżniałyby się od siebie, tak kształtem, jak i różnym stopniem oświetlenia.

„Wygląd rozpadlin księżycowych jest całkiem różny od napotykanych na ziemi, z wyjątkiem jedynej odosobnionej rozpadliny około *Herodota* występującej w wąwozie górskim. Ta swemi zakrętami meandrycznemi, powolnem rozszerzaniem się, okrągławą głębiną w ujściu, żywo przypomina rzeki środkowej Azyi wpadające do jezior.

„Wiele rozpadlin przejawia się wyłącznie w szlaku górskim, nie dosięgając równin, inne znów przerzynają płaszczyzny i w nich się poczynają i kończą, lub przez równiny przechodzą z jednej góry do drugiej. Szerokość wszystkich tych rozpadlin prawie jednakowa; w środku są one rozleglejszemi niż w obu końcach. Rzadko się zdarza, aby się z sobą łączyły; wiele z nich biegnie prosto jak sznur, a wszystkich głębokość wielka, gdyż obserwator na ziemi pozostający dostrzega cień ich padający wewnątrz, często też głębokość ich dochodzi kilkuset sążni. Nieprawdopodobieństwo aby bieżąca woda tak głęboko grunt wymywała, jest tem większem, jeżeli zwrócimy uwagę na mniejszą od ziemskiej ciężkość gatunkową powierzchni księżyca. Choćby nawet w odległych starożytnych epokach woda w tych kanałach płynęła, to w każdym razie nie mogły one swego powstania jej biegowi zawdzięczać“.

Według poglądu Kleina, opartego na wieloletnich i ścisłych spostrzeżeniach, ogromne te rozpadliny powstały wskutek kurczenia się powierzchni księżyca i prawdopodobnie tą drogą i dziś jeszcze powstają. Rozpadlin tych w żadnym razie nie można poczytywać, ani za wytwór wulkaniczny, ani za neptuniczny, to jest dokonany przez prądy wodne. Jeżeli niektóre z nich przerzynają się przez małe kratery lub się w sąsiedztwie ich kończą, to nastąpić mogło tylko wypadkowo, przez sfałdowanie się lub skurczenie skorupy księżycowej. Wpatrując się silnemi teleskopami w niektóre rozpadliny, dostrzegamy, że się one poza wały sąsiednich gór obrączkowych przerzucają. Około krateru *Ramsden* dostrzegamy, że wskutek rozpadliny części sąsiednie wału obrączkowego posuniętemi ku sobie zostały. Rozpadlina ta jest, jak i wiele innych, utworu nowszego od krateru, jaki ominęła“.

W powyższym opisie skreśliliśmy najgłówniejsze utwory powierzchni księżyca; ale znajdujemy liczne wskazówki, że powstały one wskutek potężnych sił wywartych na jego powierzchni, które w części były identycznemi z siłami wulkanicznemi ziemi.

Czy dziś przejawia się jeszcze jaki ślad działalności tych sił na księżycu?—na to pytanie przez długi czas nauka nie mogła znaleźć odpowiedzi; dopiero w nowszych czasach ściślejsze badania wykazały, że w pewnej mierze siły te są jeszcze na księżycu czynnemi. Dowodem tego, wypełnienie się starego krateru *Linneusza*, o którym wspomnieliśmy wyżej, oraz nowy wytwór olbrzymiego dołu księżycowego bez wału, od strony północno-zachodniej *Hyginusa* a niemniej wytworzenie się doliny w postaci rozpadliny, w tejżesamej okolicy. Są to formacye, jakim równych w geologicznych epokach naszej planety nie napotykamy, z czego wnioskować wypada, że księżyc dziś jeszcze jest areną gry potężnych sił borykających się z sobą.

Obok tych transformacyi, księżyc ulega jeszcze innym, zachodzącym wskutek silnego rozpalania się głazów w ciągu długich dni, i następnego wystygania w porze nocnej.

Spostrzeżenia lorda Rosse uwidoczniły, że księżyc oświetlany przez słońce, odstępuje powierzchni ziemi, pewną część ciepła, które nie z jego wnętrza pochodzi, lecz jedynie z odbitych promieni słonecznych.

Jak wysokim jest stopień temperatury na księżycu, dotąd nie wiemy, i w tej kwestyi wielce trudno nam pozyskać jaki pewny rezultat, gdyż nie wiemy całkiem, jak się zachowuje w promieniowaniu pozostała cząstka atmosfery księżycowej. W każdym razie przypuszczać należy, iż zmiany temperatury są znaczniejsze na księżycu, niż na ziemi, wskutek czego skały jego łatwiej pękają. Wielce jest prawdopodobnem, że wskutek oddziaływania ciepła słonecznego na wierzchnie warstwy skorupy księżycowej, w pewnych miejscowościach i czasie, warstwy te wilgotnieją i wytwarza się mgła lub para wodna zalegające niektóre okolice księżyca. Mgły takie trwają niekiedy dość długo, utrzymując się wszakże tylko nizko przy powierzchni księżyca, nigdy zaś tam nie napotykamy chmur swobodnie przeciągających, jak to ma miejsce w naszej atmosferze.

Wszystko to, co dotąd powiedzieliśmy, okazuje, że powierzchnia księżyca znacznie się różni od ziemskiej. Na podstawie dawniejszych badań, poczytywano księżyc za martwą zeskorupiałą całkiem pustynię; mniemanie to jest błędnem, gdyż księżyc, jako ciało niebieskie, przechodzi dziś fazę blizką dopiero owej martwoty. Jeżeli niegdyś księżyc był widownią wrzącego życia organicznego, to rozkwit jego sięgałby bez najmniejszej wątpliwości epoki wielce od nas odległej.

---

## KRONIKA DZIAŁALNOŚCI KOBIECEJ.

— Wszystkie uczennice pszczolnictwa przy Muzeum Pszczolniczem na Koszykach, w liczbie siedmiu, złożyły bardzo zadawalający examen, tak z wiadomości teoretycznych, jak z uzdolnienia praktycznego, przodując męzkim swym współtowarzyszom nauki.

— Na wystawie rolniczo-przemysłowej w Mińsku, było wystawczyń pięć: p. Emilia Brochocka z Horodziejowa, wystawiła okazy bydła rasy algauskiej i szwajcarskiej, klaczkę krwi arabskiej i sery z fabryki Horodziejskiej, za które otrzymała medal srebrny; p. Kisielnicka z Dworyszcza bydło rasy algauskiej oraz drób'; księżna Radziwiłłowa z Annopola—warzywa, za które przyznano jej medal bronzowy; p. Aniela Jodkowa otrzymała duży medal srebrny za różne wyroby gospodarstwa kobiecego; p. Józefa Słotwinowska wystawiła piękny drób'.

— Na wystawie rolniczo-przemysłowej w Kijowie hr. Działyńska wystawiła okazy kokonów jedwabniczych i jedwab' surowy; p. Wirska z Besarabii—winogrona; hr. Alfredowa Potocka dostała dyplom uznania, dwa medale srebrne małe i jeden duży w oddziale gospodarstwa i leśnictwa. W oddziale zwierząt domowych i drobiu hr. Stadnicka i Kulikowska właścicielka malarni w Kijowie, mały medal srebrny.

— W Indyach angielskich, w Kalkucie, zmarła w miesiącu Sierpniu, z tyfusu, Siostra Miłosierdzia, Rozalia Dymińska, Polka, urodzona w 1805 roku. W 1831 r. opuściła kraj z rodzicami; zaraziła się tyfusem w szpitalu, gdzie pełniła poświęconą służbę swoję.

— Królowa angielska chciała ozdobić Florencyą Nightingale świeżo przez siebie ustanowionym orderem kobiecym Krzyża Czerwonego, ale

miss Nightingale odmówiła. — Służby moje dla kraju już są stare i wzięłam za nie aż przewyższającą je nagrodę wdzięczności mojego narodu.... odpisała, dziękując królowej.

— Uczona Indyanka Pandita-Rama-Baï pisała do swych przyjaciół w Bombay, jaki jest plan jej pobytu w Anglii. Zamierza przez lat dwa kształcić się w języku angielskim i przygotować do examinu na matrykulacyą, w jednym z otwartych dla kobiety uniwersytetów angielskich i wtedy studyować medycynę, słuchając jednocześnie wykładów na fakultecie filozoficzno-historycznym.

— Syndykat uniwersytetu w Bombay zwrócił się do senatu uniwersyteckiego z żądaniem, aby tenże zmienił przepisy regulujące studya medyczne i przypuścił do wykładów kobiety, na tych samych prawach, których używają mężczyzni. Wrazie, gdyby uniwersytet przystał na żądanie, część funduszu złożonego w Bombay w celu zaopatrzenia Indyi w lekarzów-kobiety, zostałby podniesiony i utworzonoby pięć stypendyów kobiecych dla studentek kollegium medycznego.

— Zmarła królowa Madagaskaru, Ranawalona II, była nietylko niepospolitego ducha władczynią, ale i kobietą cnót wysokich. Angielskie dzienniki piszą o niej, że żałować jej powinni, nietylko mieszkańcy rządzonego przez nią kraju, ale wszyscy zwolennicy ludzkości i postępu. Była ona od czasu założenia przez króla Radama nowej dynastyi Hoowa (1818 r.) trzecią z rzędu kobietą zasiadającą tron Madagaskaru. Pierwsza, Ranawalona I, była istotą okrutną, srogo prześladującą chrześcijaństwo. Za jej rozkazem palono chrześcian na stosach, strącano w przepaść, znajdującą się w pobliżu stolicy, lub wypędzano w pustynie, gdzie marli z głodu i gorączki. Następnie panująca królowa Rohoherina, była też poganką jeszcze, ale już oświeconą i wyższego, powiedzieć można, genialnego umysłu, który odgadywał cywilizacyą. Rohoherina dała poddanym swoim najzupełniejszą wolność religii i zdania, zakładała szkoły i dopomagała do budowy kościołów chrześcijańskich. Za wstąpieniem na tron Ranawalony II zaszły zmiany ważne: królowa była chrześcijanką i znosiła w kraju swoim pogaństwo. Niszczono jego symbole a księga Pisma Świętego została umieszczona obok tronu królowej, po prawej jej stronie i od tego czasu kraj uczynił ważne postępy, tak w naukowem wykształceniu, jak w sztuce cywilizowanego życia. Stolica jest dziś ładnem miastem, mającem wiele takich budynków, które w drugorzędnych miastach angielskich uchodziłyby za ich ozdobę. Królowa zniosła sądy Boże, zniosła niewolnictwa, tak daleko, jak się to tyczy Mozambiku, nakazała publiczne święcenie Niedzieli, potępiła dekretem królewskim wielożeństwo, zaprowadziła doskonały systemat edukacyi, zaprowadziła sądy z obroną publiczną każdego winowajcy, zawarła trzy traktaty handlowe i przymierza przyjaźni z Anglią, Ameryką i Niemcami. Dwór jej łączył z poważną okazałością przyzwoitość obyczajów chrześciańskich, a ona sama należała do najpracowitszych kobiet swego kraju, zajmowała się interessami kraju, rządziła rzeczywiście. Mąż jej, który był pierwszym ministrem, jest też człowiekiem oświeconym i intelligentnym, kilku synów królewskich kształciło się w Europie, którą i on zwiedził. Dziś oddaje się z poświęceniem cywilizowaniu swych ziomków, krzewi chrześcijaństwo i nauki; na całej przestrzeni posiadłości królowej szkoła jest obowiązującą, co stało się i utrzymuje za jego staraniem. Królowa Ranawalona umarła w Ambohimalaza w górach, gdzie zwykle przepędzała lato z rodziną i gdzie uprawa, oraz ogrody królewskie były zupełnie po europejsku urządzone. Ale była to miejscowość oddalona nie o całe dwie mile geograficzne od stolicy, Antananarywo, bo królowa nigdy nie przerywała swego pracowitego zajęcia władczyni.

— Królowa Rumuńska, pisząca i drukująca poezye swoje pod pseudonymem „Carmen Silva“, wydała świeżo zbiór ich pod tytułem: *Strofy cierpienia*. Śmierć jedynego dziecka, córeczki, przejęła jej serce głęboką boleścią i to jest źródło z którego wypłynęły *Strofy cierpienia*. Zpośród jej utworów najwyżej ze względu wartości literackiej cenione są przekłady na język niemiecki ludowych pieśni i podań rumuńskich. Królowa włada biegle językiem swego przybranego kraju, a dodać trzeba, że prócz wyższego wykształcenia literackiego, jest to niepospolita lingwistka, jak tego dowiodła, gdy na przyjęciu agentów dyplomatycznych, zpowodu jej zaślubin z Królem Karolem, przemawiała do wszystkich jego własnym językiem. Obecnie królowa zajmuje się z przejęciem sprawą edukacyi Rumunów, zwłaszcza szkołami żeńskiemi i wogóle życie kobiet rumuńskich; ich obyczaje, ich stan ukształcenia, są przedmiotem wielkiej jej troskliwości. Za przybyciem swem do Rumunii została uderzona azyatyckim zbytkiem magnatek tamtejszych, ich ruinującemi strojami, sprowadzanemi z Paryża, gdy z drugiej układ domów, dworów, pałaców ogromnych, z nieobliczoną ilością służby, był prawie wschodni, ze wschodnią rozrzutnością i wschodniem próżniactwem, co wszystko usiłuje królowa wpływem swym wykorzenić, przeciwstawiając temu ze swojej strony skromność w strojach i prostotę gustu. Tylko malowniczy ubiór wieśniaczek rumuńskich podbił sobie jej smak artystyczny i królowa nosi go prawie ciągle, gdy na rezydencyą letnią wyjeżdża do zamku Synai w Karpaty. W tym nawet stroju była malowana przez jakiegoś sławnego malarza, Amerykanina, w naturalnej wielkości i obraz ten reprodukowany potem w drzeworytach, rozniósł po wszystkich stronach świata podobiznę Carmen Silvy, autorki *Baśni Karpackich* w tem odzieniu wieśniaczem. Wielkie panie rumuńskie może będą teraz wyrzucać mniej pieniędzy swego narodu na suknie od Wortha.

Królowa Elżbieta z wyraźnem pragnieniem oddziaływania w tym kierunku usunęła z życia swego wszelką możliwą pompę. Pracowita, wstaje bardzo rano; latem i zimą jest na nogach o godzinie piątej, ale nie budzi nikogo, sama zapala sobie przyszykowaną już lampę i siada do roboty— do pisania lub czytania, a czyta bardzo wiele, bo we wszystkich europejskich językach, i studyuje poważnie wyższą literaturę wszystkich piśmiennictw świata. Appartament jej składa się z szeregu bardzo szlachetnie, z wysokim artystycznym smakiem urządzonych komnat i salonów, gdzie widzieć można wiele śladów jej własnej pracowitej ręki. Posłuchanie daje zwykle w swoim gabinecie, obszernym pokoju pełnym książek, obrazów i umeblowanym w stylu starożytnym. Dama honorowa siedząca w pierwszym salonie recepcyjnym przyjmuje przybywających, a mały groom pokojowy prowadzi ich koleją przyjętego porządku do królowej. Przebywać im trzeba szeroki piękny kurrytarz wysłany tak miękkim kobiercem, że nie słychać wcale kroków idącej osoby, do której za jej wejściem do gabinetu, królowa podnosi się zawsze i nie pozwala nigdy całować sobie rąk, jeżeli odwiedzająca ją pani jest już w pewnym wieku, lub zajmuje jakąś wyższą pozycyą, szczególniej jeżeli używa wyższej opinii kobiety zacnej i dobrej patryotki. Takie prowadzi królowa do poblizkiej kanapki, sadza obok siebie i rozmawia uprzejmie, w sposób przyjemny i przyjacielski.

W dniu uroczystości narodowych umie przecież królowa otoczyć się oznakami królewskiego majestatu i reprezentuje należycie godność swoją wobec narodu. Wtedy zdobi jej czoło korona, którą otrzymała od gminy Bukarestu w r. 1869; różowa wstęga orderu Izabelli jest przepasana przez ramię, a krzyż za zasługę literacką, ulubiona ozdoba królowej, jest przypięty dużą kokardą na lewem ramieniu.

Królowa jest bardzo kochaną, jakkolwiek mówią, że wielkie panie rumuńskie czują się niekiedy dotknięte jej prostotą w ubiorze i w życiu, jej pracowitością i trybem przyjętych na dworze zwyczajów. Ponieważ wstaje rano do roboty, przyjęcia nie przedłużają się u niej nigdy do późna w noc, uważa to nawet za porządek życia, aby nie przemieniać nocy na dzień, a dnia nie czynić nocą. Z konieczności muszą się stosować do tych obyczajów sfery dworskie, a panie nie mogą roztaczać dawniejszego zbytku wobec skromności i prostoty królowej, za co przecież zyskuje sobie sympatyą między ludźmi myślącymi i posiada miłość ogółu, zdobytą sobie w czasie wojny tureckiej przez patryotyczne zajęcie się rannemi po lazaretach, gdzie pełniła służbę siostry miłosierdzia, nie dla formy, nie z pozoru tylko. Zorganizowała sama ambulansową służbę zdrowia, dobrała bardzo starannie sztab lekarski, bywała osobiście na stacyi kolejowej, gdy przybywali ranni z pola bitwy, i żołnierzom, jako niemającym przy sobie rodziny, matki, lub żony, oddawała się z poświęceniem prawdziwem, assystowała amputacyom, trzymając przytem nieraz głowę, lub rękę biedaka. To też kocha ją niezmiernie armia i lud, który dotąd był przyzwyczajony do dziko pogardliwego traktowania przez klassy wyższe. Ktoś może powiedzieć, że to polityka, zręczna gra o popularność: niech przecież każdy prowadzi taką politykę cnoty i w ten sposób chce sobie jednać ludzi, a nie będzie źle światu. Uszanowanie i zrozumienie szlachetnego ideału człowieczeństwa, ludzkości, już jest samo w sobie wielką zasługą.

Królowa ustanowiła po wojnie order dla kobiet, „które pomagały sprawie narodowej“, dziełami miłosierdzia, założyła następnie siostry miłosierdzia, które kosztem swej osobistej szkatuły wysłała dla kształcenia się za granicę: do Francyi, Anglii i Niemiec. Stara się obecnie o zaprowadzenie stowarzyszenia kobiet na wzór niemieckich towarzystw takich.

Jedynym zbytkiem królowej jest wielkie zamiłowanie kwiatów. Gabinet jej przedstawia też pewien rodzaj gaiku pełnego kwiecia i krzewów, drzew prawie.

Rys ten jej życia nie jest czerpanym z pism niemieckich, które mogły-by być stronne dla królowej; pewne fakta pochodzą ze źródeł angielskich, ale głównie są to obserwacye Polaka, żyjącego w Rumunii, który uważa królowę Elżbietę za szlachetną przedstawicielkę kobiecości. Poezya uskrzydliła zatem dobrze jej ducha i Carmen Silva wspomaga królową.

— W Paryżu na konkursie Crouzet'a otrzymała pierwszą nagrodę w summie 20,000 franków Klementyna Royer za dzieło: „Filozofia Ewolucyi“.

— Na liście osób nagrodzonych przez paryzką Akademię medyczną za rozpowszechnianie szczepienia ospy w kraju i zagranicą znajduje się kobieta: M-me Baudeoin z Vannes.

— Wśród czterdziestu dziewięciu kandydatów, którym francuzkie Ministerym Oświecenia udzieliło dyplomów wolnego nauczania rysunku w Lyceach i Kollegiach, jest dwadzieścia trzy kobiet. Rysunki dokonane na konkurs stanowiły o udzieleniu dyplomu.

— Najmłodszą kobietą, jaka kiedy dostała się na szczyt góry Mont-Blanc, jest szesnastoletnia dziewczyna nazwiskiem Quenessen. Dokonała ona tego śmiałego czynu w pierwszych dniach Września.

— W Zurychu na wydziale filozoficzno-literackim studyuje obecnie młoda Niemka, która niemając funduszów na utrzymanie, przyjęła w tym mieście miejsce nauczycielki przy dwojgu dzieci i w wymówionych sobie wolnych od zajęcia obowiązkowego godzinach, uczęszcza na wykłady. Dzielna to i odważna istota, godna, aby zdołała dobić się w życiu do każdego zamierzonego celu.

— Miss Carvy Marta Thomas, Amerykanka z Baltimore, otrzymała świeżo stopień doktora filozofii na Uniwersytecie Zurychskim. Coraz-to liczniej kobiety oddają się studyom w tym kierunku, bardzo pożądanym ze względu na nauczycielstwo kobiety. Medyczki były tylko jakgdyby strażą pierwszą, oddziałem wojowniczym, który torował drogę. Teraz idą nią już spokojne pracownice.

— W dniu 2 i 3 Sierpnia Uniwersytet Zurychski obchodził pięćdziesięciolecie swego istnienia, przyczem wśród ogłoszonego drukiem sprawozdania znajduje się pouczający rzut oka na przebieg kobiecych studyów, który podamy w numerze następnym kroniki.

— Uczony francuzki, Janet, napisał w *Revue des deux mondes* z przeszłego miesiąca obszerny artykuł o wykształceniu kobiet we Francyi. Jest tam rozbieranem głównie dzieło o edukacyi dziewcząt Gréard'a, z którego korrespondent nasz paryzki podał w swoim czasie wyczerpujące sprawozdanie. W przyszłym numerze wrócimy jeszcze do artykułu Janet'a.

— P. Marya Loizillon, generalna inspektorka

francuzkich ochronek, „écoles maternelles“ wysłana przez francuzkie Ministeryum Oświecenia na zwiedzenie zakładów tego rodzaju w Ameryce, wróciła z tej wycieczki swojej i złożyła bardzo zadawalający i szczegółowy raport ze spostrzeżeń swoich. To, co było w Kronice naszej z miesiąca Lipca podanem o ochronkach freblowskich w Bostonie, o działalności w tym kierunku córki Agassiza, Mrs. Pauliny Show, było wziętem z jej korrespondencyi do dzienników francuzkich.

---

# DROBNE LISTKI.

**W Wiedniu.** Pod tym tytułem angielski pisarz, H. E. Malden, dał czytelnikom żywo i malowniczo skreślony obraz oblężenia Wiednia i odsieczy danej mu przez króla Sobieskiego. Autor wykazuje, że tylko niedołęztwo wodza tureckiego, wezyra Kara-Mustafy, spowodowało klęskę jego i rozbicie. Mógł był jeszcze w Sierpniu uderzyć na stolicę Habsburgów, zostawioną na jego łaskę i niełaskę, gdyby był wiedział jak attakiem kierować i zkąd szturm przypuścić należy? Mógł i nawet był powinien, następnie albo się cofnąć, albo obóz swój lepiej obwarować, skoro się dowiedział o nadciągającej armii odsieczy. Autor opisuje z wielką werwą chwilę zbliżenia się pod Wiedeń „polskiego bohatera“, czego moment jeden wśród obozu tureckiego tak obrazuje: „Ci (z Turków) którzy już walczyli przeciwko królowi polskiemu, znali buńczuk jego i tarczę, którą przed nim niesiono, chorągiewki powiewające na lancach jego przybocznej gwardyi, zwiastującej już niezawodnie straszliwą obecność Sobieskiego.—Na Allaha! król naprawdę jest tam, pomiędzy niemi!... wykrzyknął Gieray, han krymski, a wszelka pod tym względem wątpliwość została wkrótce usuniętą, skoro okrzyk: — „Niech żyje! niech żyje Sobieski!“ rozległ się wśród szeregów chrześcijańskich, odpowiadając wspaniałym i znaczącym sposobem na dziwą wrzawę, która się wszczęła między niewiernymi.

**Samiotaki,** uczony literat grecki, zmarł zeszłego miesiąca w Smyrnie. Urodzony w 1818 r., miał dzieciństwo dziwnie tragiczne i pełne wypadków. Uszedł straszliwej rzezi odwetu tureckiego za rzeź, od której rozpoczął się w Chios ruch powstania greckiego, tym tylko sposobem, że zaraz po tym krwawym akcie uwieziono litościwie na wyspę Tanos biedne dziecko, którego rodzice i cała rodzina zginęła od Turków, broniących się przeciw mordowi i mordujących nawzajem. Znaczna część mieszkańców, przewidująca co nastąpić miało, uszła i dziecko zostało z miłosierdzia zabranem przez uciekających. Na wyspie Tanos rósł wpół opuszczony i niemal dziki chłopczyna, żyjący nad morzem i żywiący się tem, co wyrzuciło; aż na końcu ściągnął na siebie uwagę kapitana francuzkiego okrętu wojennego, a następnie admirała de Rigny, który go wziął na fregatę swoją i począł uczyć. Okazane przez dziecko zdolności sprawiły, że de Rigny posłał chłopca po pewnym upływie czasu do Bazylei na naukę. Potem też na własne jego żądanie, opiekun pozwolił mu udać się do Niemiec, gdzie pragnął uczyć się starożytnego języka przodków swoich, i w niemieckich szkołach Samiotaki zdobył sobie głęboką naukę starożytności, sławę w dodatku, lecz pragnął powrócić do ojczyzny. Udał się do Smyrny, kędy zamieszkał na zawsze i kędy założył wkrótce po przybyciu czasopismo *Amalteia* i które też prowadził aż do śmierci. Przekręcone zdarzenia jego dzieciństwa, wytworzyły o nim legendę, iż sierota po wymordowaniu całej ludności Chios, został jedyną żywą istotą na wyspie, gdzie znalazł go na skale nadbrzeżnej kapitan francuzkiej fregaty i o nim to Wiktor Hugo napisał wiersz swój wzruszający:

**Dziecko greckie.**

Turcy! Turcy tu byli—została ruina!
Chios, czarowna wyspa balsamów i wina,
Sterczy nagiej skały czołem.
Wczoraj jeszcze nad modrą błyskała topielą,
Sadów swoich zielenią, marmurów swych bielą,
Tańcujących dziewic kołem.
Dzisiej tutaj pustynia—dzisiej tu nic niema,
Ale nie,... greckie dziecku z modremi oczyma
Siedzi, chyląc główki złotéj.
Nad niem biały głóg ściele drżącą smugę cienia,
Dwa kwiaty zapomniane w godzinie zniszczenia,
Dwie żywe jeszcze istoty.
O bose, biedne dziecko na spieczonej skale,
Z oczu twoich błękitnych jak niebo, lub fale,
Cóżby otarło łez zdroje?
Coby w nich zapaliło tę iskrę wesela,
Co z burzy płaczu błyskiem pustoty wystrzela,
Zpod rzęs takich ot, jak twoje?
Jak podnieść blade czoło, schylone rozpaczą,
Rozgarnąć jasne włosy, które nad niem płaczą,
Jak gałęzie brzozy białej?
Aby, kiedy wietrzyku przyleci tu tchnienie,
Po wdzięcznej swojej szyjce w złociste promienie?
Leciuchno się rozsypały?
Może dać ci na cacko tę lilię błękitną,
Której senne kielichy gdzieś w Iranie kwitną,
U wód tajemniczych brzegu?
Może jabłko Adama z drzewa tak wielkiego,
Że koń Araba, chcący obiedz cieniem jego,
Sto lat musi pędzić w biegu?
Lub może wolisz ptaszka z czarownej dąbrowy,
Którego głos rzewniejszy od fletni wierzbowéj
Brzmi czasem jak trąba króli?
—Cóż cię nęci?.. Ptak, owoc, albo cudu kwiecie?
—Słuchaj!—szepnęło greckie modrookie dziecię.
Ja chcę prochu!... ja chcę kuli....

**W Oberammergau,** sławnej dziś miejscowości w Bawaryi, gdzie grywane przez ludność tamtejszą misteryum: *Dramat Męki Pańskiej*, ściąga wielotysięczne tłumy widzów z całego świata; zmarł 85 lat mający dramatu tego autor, Daisenberger, Syn chłopski, nie miał on gustu do pracy w polu; bardzo młodo wszedł do klasztoru Benonów, gdzie nabył pewnego wykształcenia, a entuzyastycznie zapalony do muzyki i poezyi, ułożył kilka oratoryów i dramatów religijnych, gdy poznał go Ludwik I król bawarski, do którego uszu doszła sława tego samorodnego geniuszu. Król, wielki wielbiciel muzyki i sztuk w ogóle, usłyszawszy i zobaczywszy dzieła jego na scenie wiejskiej, poddał mu myśl, aby przerobił misteryum *Męki Pańskiej*, od wieków grywane w Oberammergau, a które było grubą i trywialną karykaturą rzeczy świętej. Daisenberger poszedł za radą królewską; wiosennym czasem, niewidując prawie nikogo i przebywając przez sześć tygodni samotnie wśród starych, cienistych sadów klasztornych, napisał dramat szlachetny i głęboko religijny, pełen naiwnej i poetycznej wiary, pewien rodzaj niedającego się naśladować arcydzieła, które grywane odtąd w rodzinnej jego wiosce co lat dziesięć, przez wieśniaków miejscowych, dało braciszkowi klasztornemu sławę europejską. Czytając o tem, przypominamy sobie mimowoli wiersz starego angielskiego poety Grey'a *Cmentarz wiejski*. Nie na jednym spoczął nieznany nikomu, a nawet samemu sobie, poeta nie niższego polotu niż Milton.

— Umarł w Anglii szlachetny filantrop, oddany w zupełności jednej tylko myśli umoralnienia ludu, Hugon Birley. Doszedłszy do przekonania, że religia jest najwyższą w człowieku dźwignią uczuć szlachetnych, sam tylko, przy pomocy kilku członków swej rodziny, zbudował i najzupełniej opatrzył siedm kościołów, co kosztowało go sto tysięcy funtów sterlingów. Wszystkie te kościoły wzniósł w pobliżu i w okolicy Manchesteru, dla wpływów religijnego oddziaływania na licznie tam zgromadzony lud robotników fabrycznych.

— Uczony francuzki Pasteur, poświęcający się szczególniej badaniom mikroskopijnym, zawiadomił w Sierpniu Francuzką Akademią Umiejętności, że odebrał od francuzkiej missyi dla badania cholery w Egipcie wiadomość o kilku bardzo ważnych spostrzeżeniach i odkryciach, które, gdy zostanie o nich dokładniej powiadomiony, zbada naukowo i wyniki tych badań uczonemu gronu zakommunikuje.

---

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 2-gi powieści pod tyt.: **Książęce gniazdo.**

---

KSIĘGARNIA NAKŁADOWA
MICHAŁA GLÜCKSBERA
oraz
REDAKCYA PISMA
BLUSZCZ
przeniesione zostały
na ulicę Królewską do domu № 5 nowy.

**TREŚĆ.** W lesie (poezya), przez Lenau'a. — Nowa kwestya wychowawcza, (dokończenie), przez M. Ilnicką.— Polka i Amerykanka, powieść, (dalszy ciąg), przez Sewera. — Z działu przyrody, (dokończenie). — Kronika działalności kobiecej. — Drobne listki.

Warszawa.— Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.
Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.
Дозволено Цензурою.
Варшава, 20 Сентября 1883 года.